

Kazio nie odpuszcza

Co można powiedzieć o „kondycji” artysty? Na pewno to, że właśnie od niej zależy czy spektakl jest ciekawy, czy też ciągnie się niemiłosiernie albo zupełnie brakuje mu akcji. Jaka jest więc kondycja dzisiejszych artystów? Czy mają w sobie na tyle siły i werwy, by poprowadzić prawdziwe, porywające show?

Niewykluczone, że właśnie te pytania krążyły po głowie Kazia Sponge’a, czyli nietuzinkowego, małego artysty z wadą wymowy, która nie przeszkadza mu w byciu najbardziej gadatliwą i pozbawioną konwenansów lalką, jaką do tej pory widziano na deskach WTL-u.

Chcąc odkryć przed nami sekrety staczających się na dno artystów i ukazać ich prawdziwe oblicze sam przeczy swojej koncepcji, dowodząc, że jego własna kondycja ma się wyjątkowo dobrze.

To wszystko zawiera w sobie „Estradowy Wycierus”, czyli przegląd różnych stanów egzystencji upadającego (albo wcale nie) twórcy.

Przedstawienie ma formę musicalu, w którym nic nie jest przewidywalne. Każda piosenka stanowi osobną historię, wszystkie dotyczą jednak tego samego tematu. Jest ich dwanaście, ich kolejność nie ma jednak znaczenia – dzięki wielu elementom improwizowanym i interakcjach z widzami fabuła spektaklu układana jest na bieżąco. Czyni to każdy spektakl zupełnie innym od pozostałych.

Zdecydowanie należy wspomnieć, kto właściwie stoi za drobnymi plecami głównego bohatera. Jest to pełna pomysłów, zdystansowana, rudowłosa Anna Makowska-Kowalczyk, której dźwięczny śmiech niemal bez ustanku rozbrzmiewa na sali, przebijając się między wesołymi odgłosami z widowni.

Wszystko zaczęło się w 2009 roku, kiedy aktorka przekształciła zwykłą gąbkę w swojego scenicznego kompana, bardzo dobrze prosperującego w świecie dorosłych. Jej specyficzny stosunek do Kazia sprawia, że na scenie tworzą głęboko zapodającą w pamięć parę, bardzo spójną i zupełnie naturalną.

Historię powstawania naszego showmana i stawiania przez niego „pierwszych kroków” na różnych scenach możemy poznać z większymi szczegółami już podczas spektaklu. Jedną ze scen to monolog samej artystki, bez Kazia, w którym opowiada o początkach swojej przygody z lalkami. Zawiera w nim także pewnego rodzaju manifest, dotyczący tego, co najbardziej uderza ją w dzisiejszym świecie teatru – brak szacunku do pracy artystów, sprzedawanie się, tworzenie tylko dla pieniędzy.

Nie możemy także zapomnieć, że spektakl nie miałby w sobie tak dużo rytmu, gdyby nie niezastąpiony Grzegorz Mazoń. To on kreuje dźwiękową stronę przedstawienia i swoją spokojną postawą wprowadza przydatny kontrast do energicznej i wybuchowej postaci Wycierusa. Jego muzyka wydaje się być tworzona na szybko, jest jednak bardzo dobrze przemyślana. Aktor nie wyklucza też momentów improwizacji, dodając tym samym więcej powodów do zachwytu nad sztuką całości.

Scenografia jest skromna, stworzona głównie z obrazków narysowanych na kartonach i różnych przedmiotów codziennego użytku. Dowodzi to temu, że jeśli ma się dobry pomysł, najprostsze środki wystarczą, by wprawić widza w zaskoczenie czy też wywołać śmiech.

Twórcy chcą pokazać, że z Kaziem można obejść wszystko, co w teatrze zabronione. Oglądający dostają możliwość wypróbowania tych słów na własnej skórze!

Tak, jak pisałam na początku – Kaziowi kondycji nie brakuje. Z planowanej godziny, premierowy spektakl przedłużył się do dwóch i pół. Zapewne to ekscytacja z pierwszego tak długiego występu na scenie wyzwoliła w nim niewyczerpane pokłady energii.

Skrócenie niektórych scen lub porzucenie zbędnych nie stanowiłoby jednak wielkiej ujemy, a wręcz dodałoby ochoty na więcej. Ochotę, którą zresztą będziemy mogli zaspokoić, gdyż „Estradowy Wycierus” już po wakacjach wchodzi na stałe do repertuaru Wrocławskiego Teatru Lalek.

To bardzo dobrze, bo skoro każdy spektakl wygląda trochę inaczej, bez wątpienia można oglądać go więcej niż jeden raz!